



JOHN GREEN



*Papierowe
miasta*



BUKOWY LAS



Najdłuższy dzień mojego życia zaczął się z opóźnieniem. Tego środowego poranka obudziłem się zbyt późno, zbyt dużo czasu spędziłem pod prysznicem i w końcu nie pozostało mi nic innego, jak zabrać się do śniadania o 7.17, dopiero gdy siedziałem na miejscu pasażera w minivanie mojej mamy.

Zwykle jeździłem do szkoły razem z moim najlepszym przyjacielem Benem Starlingiem, jednak Ben wyjechał do szkoły punktualnie, więc tego poranka nie miałem z niego żadnego pożytku. „Punktualnie” w naszym wypadku oznaczało trzydzieści minut przed właściwym rozpoczęciem lekcji, ponieważ te pół godziny przed pierwszym dzwonkiem, spędzone na wystawianiu przed bocznym wejściem do sali orkiestry szkolnej i gawędzeniu, było najważniejszym wydarzeniem w naszym kalendarzu towarzyskim. Duża grupa moich znajomych należała do orkiestry, co wiązało się z tym, że większość wolnego czasu w szkole spędzałem w odległości pięciu metrów od sali muzycznej. Sam nie byłem członkiem orkiestry, ponieważ cierpię na ten rodzaj muzycznej głuchoty, który w zasadzie utożsamiany jest z absolutną głuchotą. Byłem spóźniony dwadzieścia minut, co formalnie rzecz biorąc, oznaczało, że i tak będę w szkole na dziesięć minut przed rozpoczęciem lekcji.

Siedząca za kierownicą mama wypytywała mnie o lekcje, egzaminy końcowe i bal pożegnalny na zakończenie szkoły.

– Nie uznaję balów pożegnalnych – przypomniałem jej, kiedy wchodziła w zakręt. Z wprawą przechyliłem miskę pełnoziarnistych płatków śniadaniowych z rodzynkami, kompensując siłę grawitacji. To dla mnie nie pierwszozna.

– Cóż, nic by się chyba nie stało, gdybyś po prostu poszedł z jakąś koleżanką. Jestem pewna, że mógłbyś zaprosić Cassie Hiney. – Owszem, mogłem zaprosić Cassie Hiney, która istotnie była bardzo miła, sympatyczna i uroczą, pomimo niezwykle niefortunnego nazwiska*.

– Nie chodzi tylko o to, że nie lubię balów pożegnalnych. Nie lubię także ludzi, którzy je lubią – wyjaśniłem, choć w rzeczywistości nie była to prawda. Ben miał totalnego bzika na punkcie balu.

Mama skreśliła na szkolny parking, a ja przytrzymałem prawie pustą już miskę obiema rękami, bo właśnie przejeżdżaliśmy przez próg zwalniający. Zerknąłem na parking dla uczniów ostatniej klasy. Srebrna honda Margo Roth Spiegelman była zaparkowana tam, gdzie zawsze. Mama wjechała minivanem w ślepa uliczkę prowadzącą do sali orkiestry i pocałowała mnie w policzek. Dostrzegłem Bena i moich pozostałych przyjaciół stojących w półkole.

Podszedłem do nich, a półkole płynnie się rozsunęło, by zrobić dla mnie miejsce. Rozmawiali o mojej eksdziewczynie Suzie Chung, która grała na wiolonczeli i najwyraźniej wywołała niemałe poruszenie, umawiając się z baseballistą, znanym jako Taddy Mac. Czy to było jego prawdziwe imię – nie wiedziałem. W każdym razie Suzie postanowiła iść na bal z Taddym Makiem. Kolejna ofiara.

* *Hiney* (ang.) – pośladki, tyłek. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

– Stary – powitał mnie stojący naprzeciwko Ben. Dał mi znak głową i obrócił się na pięcie. Wyszedłem z kręgu i w ślad za nim wszedłem do budynku. Ben, niskie stworzenie o oliwkowej karnacji, które co prawda weszło w okres dojrzewania, ale nigdy nie weszło weń zbyt głęboko, był moim najlepszym przyjacielem od piątej klasy, kiedy to obaj w końcu przyznaliśmy się do faktu, że żaden z nas nie ma dużych szans na innego najlepszego przyjaciela. A prócz tego Ben bardzo się starał, a mnie to się podobało. Zazwyczaj.

– Co nowego? – zapytałem. Staliśmy bezpiecznie na korytarzu, rozmowy innych zagłuszały nasze słowa.

– Radar idzie na bal – oznajmił posepnie Ben. Radar był naszym drugim najlepszym przyjacielem. Nazwaliśmy go „Radar”, bo wyglądał jak ten mały gość w okularach, Radar, ze starego serialu telewizyjnego *M*A*S*H*, tyle tylko że: 1. telewizyjny Radar nie był czarnoskóry i 2. jakiś czas po nadaniu mu tego przydomka nasz Radar urósł około piętnastu centymetrów i zaczął nosić szkła kontaktowe, więc zapewne 3. w istocie wcale nie wyglądał jak ten facet z *M*A*S*H*, ale 4. na trzy i pół tygodnia przed zakończeniem szkoły średniej nie mieliśmy najmniejszego zamiaru wymyślać mu nowego przydomka.

– Z tą dziewczyną, Angelą? – upewniłem się. Radar nigdy nic nam nie opowiadał o swoim życiu miłosnym, co jednak nie przeszkadzało nam w częstym spekulowaniu na ten temat.

Ben przytaknął i powiedział:

– Pamiętasz mój wielki plan, żeby zaprosić na bal którąś ze świeżynek, bo to jedyne dziewczyny, które nie znają historii o Krwawym Benie? – Skinąłem głową. – No więc

– ciągnął Ben – dziś rano jakaś słodka mała królisia z dziewiątej klasy podeszła do mnie i zapytała, czy to ja jestem Krwawy Ben, a kiedy zacząłem jej tłumaczyć, że to była infekcja nerek, zachichotała i uciekła. Więc już po sprawie.

W dziesiątej klasie Ben był hospitalizowany z powodu infekcji nerek, ale Becca Arrington, najlepsza przyjaciółka Margo, rozpuściła plotkę, że prawdziwym powodem tego, że Ben miał w moczu krew, była chroniczna masturbacja. Pomimo swej bezpodstawności z medycznego punktu widzenia od tamtej pory ta historia prześladowała Bena.

– No to lipa – stwierdziłem.

Ben zaczął kreślić nowe plany znalezienia partnerki na bal, ale ja słuchałem go tylko jednym uchem, bo pośród gęstniejącej ludzkiej masy tłoczącej się w korytarzu dostrzegłem Margo Roth Spiegelman. Stała przy szafce na książki razem ze swoim chłopakiem Jase’em. Miała na sobie białą spódnicę do kolan i bluzkę w niebieskie wzory. Widziałem jej obojczyk. Śmiała się z czegoś przezabawnego z pochylonymi do przodu ramionami, od zewnętrznych kącików jej wielkich oczu rozchodziły się delikatne linie, a usta miała szeroko otwarte. Jednak najwyraźniej nie śmiała się z niczego, co powiedział Jase, bo nie patrzyła na niego, tylko w kierunku rzędu szafek po przeciwnej stronie korytarza. Podążyłem w ślad za jej spojrzeniem i zobaczyłem Becce Arrington, uwieszoną na jakimś baseballście niczym ozdoba na bożonarodzeniowej choince. Posłałem Margo uśmiech, choć wiedziałem, że mnie nie widzi.

– Stary, powinienes do niej uderzyć i tyle. Zapomnij o Jase. Boże, ależ z niej lukrowana królisia. – Kiedy przemierzaliśmy korytarz, spoglądałem na nią ukradkiem

poprzez tłum, utrwalając sobie w pamięci migawki składające się na serię fotografii pod tytułem: „Ideal stoi w miejscu mijany przez śmiertelników”. Kiedy znalazłem się bliżej, pomyślałem, że może jednak wcale się nie śmiała. Może coś ją zaskoczyło albo dostała prezent, czy coś w tym stylu. Wydawało się, że nie może zamknąć ust.

– No – rzuciłem do Bena, nadal nie słuchając, nadal starając się nasycić jej widokiem bez zwracania na siebie uwagi. Nie chodziło nawet o to, że była tak ładna. Margo była wprost niesamowita, i to całkiem dosłownie. W końcu zbyt się od niej oddaliliśmy, zbyt wiele osób przechodziło między nią a mną i nigdy nie znalazłem się wystarczająco blisko, by choć usłyszeć jej głos albo dowiedzieć się, cóż to była za zabawna niespodzianka. Ben pokręcił głową, bo już tysiąc razy widział, jak na nią patrzę, i był do tego przyzwyczajony.

– Daj spokój, fajna z niej laska, ale nie aż tak fajna. Wiesz, kto jest naprawdę wystrzałowy?

– Kto? – zapytałem.

– Lacey – odparł. Druga najlepsza przyjaciółka Margo. – No i twoja mama. Stary, widziałem, jak cię całowała w policzek dziś rano, i daruj mi, ale przysięgam na Boga, pomyślałem sobie: „Rany, chciałbym być na miejscu Q. A do tego chciałbym, żeby moje policzki miały penisy”.

Dźgnąłem go łokciem w żebra, ale wciąż myślałem o Margo, bo była dla mnie jedyną legendą z sąsiedztwa. Margo Roth Spiegelman, której sześciosylabowe imię i nazwisko często były wymawiane w pełnym brzmieniu z nutą cichej rewerencji. Margo Roth Spiegelman, której opowieści o heroicznym przygodach przetaczały się przez szkołę niczym letnia nawałnica:

staruszek mieszkający w walącym się domu w Hot Coffee w stanie Missisipi nauczył Margo grać na gitarze; Margo Roth Spiegelman przez trzy dni podróżowała z cyrkiem (uważali, że ma potencjał na trapezie); Margo Roth Spiegelman wypić kubek ziołowej herbaty z The Mallionaires za kulisami po koncercie w St. Louis, podczas gdy oni pili whisky; Margo Roth Spiegelman weszła na ów koncert, mówiąc bramkarzom, że jest dziewczyną basisty i czy jej nie poznają, i serio, dajcie spokój, chłopaki, nazywam się Margo Roth Spiegelman, i jeśli wejdziecie tam i powiecie basiście, żeby rzucił na mnie okiem, albo powie wam, że jestem jego dziewczyną, albo że chciałby, żebym nią była, więc bramkarz to zrobił, a basista powiedział: „No jasne, to moja dziewczyna, wpuście ją na show”, a jeszcze później ów basista chciał się z nią umówić, a ona dała kosza basiście z The Mallionaires.

Kiedy opowiadano sobie te historie, nieuchronnie kończyło je pytanie: „Dacie wiarę?”. Często nie wierzyliśmy, jednak opowieści zawsze okazywały się prawdziwe.

Dotarliśmy do naszych szafek. Radar stał oparty o szafkę Bena, pisząc coś na tablecie.

– A więc idziesz na bal – zagailem. Podniósł na mnie wzrok i zaraz znów go opuścił.

– Usuwam w Omniklopedii skutki wandalizmu w artykule o byłym premierze Francji. Wczoraj w nocy ktoś wykasował całą treść, a na jej miejsce wpisał zdanie: „Jacques Chirac to gey”, co, jak wiadomo, jest niezgodne zarówno ze stanem faktycznym, jak i z zasadami ortografii.

Radar jest pełnoetatowym redaktorem tworzonej przez użytkowników internetowej encyklopedii o nazwie

Omniklopedia. Całe jego życie podporządkowane jest nadzorowaniu Omniklopedii i dbaniu o jej dobro. To tylko jeden z wielu powodów, dla których fakt, że Radar ma partnerkę na bal, był nieco zaskakujący.

– A więc idziesz na bal – powtórzyłem.

– Sorry – bąknął, nie podnosząc wzroku. Fakt, że jestem przeciwnikiem balu pożegnalnego, był powszechnie znany. Żaden jego aspekt absolutnie mnie nie pociągał – ani wolny taniec, ani szybki taniec, ani suknie, a już z całą pewnością nie wypożyczany smoking. Wypożyczanie smokingu jawiło mi się jako znakomity sposób na złapanie jakiejś paskudnej choroby od poprzedniego „najemcy”, a nie aspirowałem do tytułu jedyne go na świecie prawniczka z wszami łonowymi.

– Stary – odezwał się Ben do Radara – młode kicie znają historię o Krwawym Benie. – Radar w końcu oderwał się od komputera i współczująco pokiwał głową. – W tej sytuacji – ciągnął Ben – dwie pozostające mi strategie to albo kupić partnerkę na bal w internecie, albo polecieć do Missouri i porwać jakąś małą, śliczną, wykarmioną kukurydzą królisie.

Kiedyś próbowałem wytłumaczyć Benowi, że „królisia” brzmi raczej seksistowsko i tandetnie niż retro i cool, ale on nie zamierzał porzucać swoich zwyczajów. Mówił „królisia” nawet na własną matkę. Był niereformowalny.

– Zapytam Angelę, czy kogoś nie zna – zaoferował Radar. – Chociaż znalezienie ci partnerki na bal będzie trudniejsze niż przemienienie ołowiu w złoto.

– Znalezienie ci partnerki na bal jest tak przygniatającym zadaniem, że samej hipotezy jego realizacji używa się do rozkruszania diamentów – dodałem.

Radar dwukrotnie uderzył pięścią w szafkę na książki, wyrażając swą aprobatę, i dorzucił:

– Ben, znalezienie ci partnerki na bal jest tak poważnym problemem, że rząd Stanów Zjednoczonych uważa, iż nie sposób rozwiązać go na drodze dyplomatycznej i konieczne jest użycie siły.

Usiłowałem wymyślić coś jeszcze, kiedy wszyscy trzej równocześnie dostrzeżliśmy idący ku nam z jakimś zamiarem człekokształtny zbiornik na sterydy anaboliczne znany jako Chuck Parson. Chuck Parson nie brał udziału w zajęciach sportowych, ponieważ to odwracałoby jego uwagę od większego celu w życiu: aby pewnego dnia zostać skazanym za morderstwo.

– Hej, cioty! – zawołał.

– Chuck – odparłem na tyle przyjaźnie, na ile mogłem się zdobyć. Przez ostatnich kilka lat Chuck nie przysparzał nam poważniejszych kłopotów – najwyraźniej ktoś w Krainie Fajnych Ludzi wydał edykt, żeby zostawił nas w spokoju. Było więc raczej niezwykle, że w ogóle się do nas odezwał.

Może dlatego, że przemówiłem, a może nie, Chuck uderzył dłońmi w szafki po obu stronach mojej głowy, a następnie pochylił się ku mnie na tyle blisko, że mogłem poczuć zapach jego pasty do zębów:

– Co wiesz o Margo i Jasie?

– Ehm – bąknąłem. Zebrałem w myślach wszystko, co o nich wiedziałem: Jase był pierwszym i jedynym poważnym chłopakiem Margo Roth Spiegelman. Zaczęli ze sobą chodzić pod sam koniec zeszłego roku. Po wakacjach oboje wybierali się na Uniwersytet Florydzki. Jase dostał tam stypendium dla baseballistów. Nigdy nie był u niej

w domu, jedynie po nią przyjeżdżał. Ona nigdy nie okazywała, że jakoś szczególnie go lubi, ale z drugiej strony Margo nigdy nie okazywała, że lubi kogokolwiek. – Nic – powiedziałem w końcu.

– Nie leć sobie ze mną w kulki – warknął.

– Ja ledwo ją znam – powiedziałem, co było bliskie prawdy.

Rozwahał przez chwilę moją odpowiedź, podczas gdy ja usilnie starałem się nie odwrócić wzroku od jego blisko osadzonych oczu. Skinął lekko głową, odepchnął się od szafek i poszedł na swoją pierwszą tego ranka lekcję: pielęgnacja i żywienie mięśni piersiowych. Rozbrzmiał drugi dzwonek. Minuta do lekcji. Radar i ja mieliśmy analizę matematyczną; Ben – matematykę dyskretną. Nasze klasy przylegały do siebie, więc ruszyliśmy razem w ich kierunku, nas trzech w jednym szeregu, licząc na to, że fala naszych kolegów i koleżanek z klasy rozstąpi się na tyle, by nas przepuścić, co też się stało.

– Ben, znalezienie ci partnerki na bal jest tak trudne, że tysiąc małych piszących na tysiącu maszyn do pisania przez tysiąc lat nawet raz nie napisałoby „Pójdę z Benem na bal” – powiedziałem.

Ben nie mógł się oprzeć pokusie ostatecznego pogębienia się:

– Moje widoki na bal są tak marne, że babcia Q dała mi kosza. Powiedziała, że czeka, aż zaprosi ją Radar.

Radar powoli pokiwał głową.

– To prawda, Q. Twoja babcia uwielbia czarnych braci.

Tak żałośnie łatwo było zapomnieć o Chucku, rozmawiać o balu, mimo że bal guzik mnie obchodził. Takie było życie tego poranka: nic tak naprawdę nie miało znaczenia,

ani te dobre sprawy, ani te złe. Byliśmy zajęci zabawianiem siebie nawzajem i całkiem dobrze nam to szło.

Kolejne trzy godziny spędziłem w różnych klasach, usiłując nie spoglądać na zegary nad różnymi tablicami, ostatecznie jednak spoglądając na te zegary i dziwiąc się, że minęło zaledwie kilka minut, odkąd zerkałem na nie po raz ostatni. Miałem prawie cztery lata doświadczenia w obserwowaniu tych zegarów, ale ich ślamazarność nigdy nie przestała mnie zaskakiwać. Jeśli ktoś mi kiedyś powie, że zostałem mi jeden dzień życia, udam się prosto ku świętym korytarzom Winter Park High School, gdzie jeden dzień zwykł trwać tysiąc lat.

Chociaż zdawało mi się, że trzecia tego dnia lekcja nigdy się nie skończy, fizyka jednak minęła i już siedziałem w stołówce z Benem. Radar miał przerwę na lunch dopiero na piątej przerwie, razem z resztą naszych znajomych, więc Ben i ja zwykle siedzieliśmy sami, oddaleni o kilka krzeseł od znanej nam grupki z kółka teatralnego. Dzisiaj obaj jedliśmy minipizzę z pepperoni.

– Dobra pizza – zauważyłem. Ben z roztargnieniem pokiwał głową. – Co się stało? – zapytałem.

– Nic – przemówił z pełnymi ustami. Przełknął. – Wiem, że myślisz, że to głupie, ale ja chcę iść na bal.

– 1. Owszem, uważam, że to głupie; 2. Jak chcesz iść, to idź; 3. O ile się nie mylę, nikogo jeszcze nawet nie zapytałeś.

– Zapytałem Cassie Hiney na analizie. Napisałem jej liścik. – Uniosłem pytająco brwi. Ben sięgnął do kieszeni szortów i podsunął mi mocno pognieciony kawałek papieru. Rozwinąłem go i przeczytałem:

Ben!

Bardzo chciałabym pójść z Tobą na bal, ale umówiłam się już z Frankiem. Sorry!

C.

Zwinąłem papier i przesunąłem go po stole do Bena. Przypomniało mi się, jak grywaliśmy na tych stołach w papierową piłkę nożną.

– To przykre – powiedziałem.

– E tam, mniejsza z tym. – Ściany dźwięku wokół nas zdawały się nas osaczać, więc zamilkliśmy na chwilę, a potem Ben spojrzał na mnie bardzo poważnym wzrokiem i oświadczył: – Mam zamiar poużywać sobie w college’u. Mam zamiar znaleźć się w *Księdze rekordów Guinnessa* w kategorii „Największa liczba zaspokojonych króliś”.

Parsknąłem śmiechem. Właśnie rozmyślałem o tym, że rodzice Radara naprawdę są w *Księdze Guinnessa*, kiedy zobaczyłem, że obok nas stanęła ładna afroamerykańska dziewczyna z krótkimi nastroszonymi dreadami. Minęła chwila, zanim zorientowałem się, że to Angela, domniemana dziewczyna Radara.

– Cześć – zwróciła się do mnie.

– Hej – odpowiedziałem. Mieliśmy razem lekcje i znałem ją z widzenia, ale nigdy nie mówiliśmy sobie „cześć” na korytarzu, ani nic w tym stylu. Zaprosiłem ją gestem, by usiadła. Przysunęła sobie krzesło do szczytu stołu.

– Zdaje się, że wy dwaj znacie Marcusa lepiej niż ktokolwiek inny – powiedziała, używając prawdziwego imienia Radara. Pochyliła się ku nam, opierając łokcie na stole.

– To główniana robota, ale ktoś musi to robić – odpowiedział z uśmiechem Ben.

– Myślicie, że on, no wiecie, wstydzi się mnie?

Ben się roześmiał.

– Co? Nie!

– Na dobrą sprawę – dodałem – to ty powinnaś się wstydzić jego.

Przewróciła oczami i uśmiechnęła się jak dziewczyna przyzwyczajona do komplementów.

– Ale jednak nigdy mnie nie zaprosił, żeby coś z wami porobić.

– Aha – powiedziałem, kiedy w końcu dotarło do mnie, o co jej chodzi. – To dlatego, że on wstydzi się nas.

Zaśmiała się.

– Wydajecie się całkiem normalni.

– Jeszcze nie widziałaś, jak Ben wciąga nosem sprite’a, a potem wypluwa go ustami – ostrzegłem.

– Wyglądam jak obłąkana gazowana fontanna – dopowiedział ze śmiertelną powagą Ben.

– Ale serio, mówicie, że mam się nie przejmować? No bo chodzimy ze sobą już pięć tygodni, a on nigdy nawet nie zaprosił mnie do siebie do domu.

Wymieniliśmy z Benem spojrzenia, a ja zasłoniłem usta, by stłumić śmiech.

– Co? – dopytywała się Angela.

– Nic – odpowiedziałem. – Serio, Angela, gdyby zmuszał cię do spędzania czasu z nami i ciągle zabierał cię do swojego domu...

– ...z całą pewnością znaczyłoby to, że cię nie lubi – dokończył Ben.

– Ma dziwnych rodziców?

Głowiłem się, jak szczerze odpowiedzieć na to pytanie.

– Hm, nie. Są spoko. Tylko chyba nieco nadopiekuńczy.

– Właśnie, nadopiekuńczy – zgodził się trochę zbyt szybko Ben.

Uśmiechnęła się i wstała, mówiąc, że musi się jeszcze z kimś przywitać przed końcem przerwy na lunch. Ben odczekał, aż Angela odejdzie, zanim powiedział:

– Ta dziewczyna jest niesamowita.

– Wiem – odparłem. – Ciekawe, czy udałoby nam się zastąpić nią Radara?

– Tyle że ona nie zna się chyba zbyt dobrze na komputerach. Potrzebujemy kogoś, kto zna się na komputerach. Poza tym założę się, że jest beznadziejna w „Odrodzeniu”. – To była nasza ulubiona gra komputerowa. – A przy okazji – dodał Ben – niezły manewr z tym stwierdzeniem, że starzy Radara są nadopiekuńczy.

– Nie do mnie należy poinformowanie jej o tym.

– Ciekawe, jak długo potrwa, zanim dane jej będzie zwiedzić Rezydencję i Muzeum Drużyny Radara – uśmiechnął się Ben.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



bukowy.las

www.bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



BESTSELLER „NEW YORK TIMESA”

**AUTOR WŚRÓD 100 NAJBARDZIEJ WPŁYWOWYCH
LUDZI NA ŚWIECIE WEDŁUG MAGAZYNU „TIME”**

Quentin Jacobsen od zawsze zakochany jest w zbuntowanej Margo Roth Spiegelman. W dzieciństwie przeżyli razem coś niesamowitego, teraz chodzą do tego samego liceum. Pewnego wieczoru w nudne życie chłopaka wkracza Margo w stroju ninja i wciąga go w niezły bałagan. Po czym znika. Quentin wyrusza na poszukiwanie dziewczyny, idąc tropem skomplikowanych wskazówek. Żeby ją odnaleźć, musi pokonać setki kilometrów. Po drodze przekonuje się na własnej skórze, że ludzie są w rzeczywistości zupełnie inni, niż sądzimy. Czy dowie się, kogo szuka i kim naprawdę jest Margo?



bukowylas.pl

Cena: 39,90 zł

